

Ajent policyjny.

Powieść na tle stosunków amerykańskich.

Przełożył z angielskiego Joter.

6

Ciąg dalszy

— Ona już wie więcej, jak za dużo!
— A więc co robić?
— Musimy ją zrobić nieszkodliwą!

Szatański uśmiech rozjaśnił wygoloną twarz mężczyzny.

Był on już zdecydowany. Wykrycie groziło — jedna zbrodnia logicznie pociągała za sobą drugą.

— Postarajno się o to, ażeby już nie wychodziła z pokoju — rzekł Robertson do swojej kochanki.

Julia wyszła, ale powróciła już po kilku minutach.

Znalazłam dziewczynę w jej pokoju. Pakowała się, bo — mówiła — u państwa, które ją ciągle podejrzewa, zostać nie może. Nie odpowiedziałam jej na to ani słowa, ale kiedy wychodziłam, zamknęłam drzwi z zewnątrz na klucz. Jest więc uwięziona i bez naszej wiedzy nie może wyjść z domu.

— Wrócę tu za jaką godzinę. Może nieobecność w biurze mogłaby na mnie zwrócić uwagę. Jak wrócę, będę już wiedział, co czynić należy.

I pogrążony w ponurych myślach Robertson opuścił mieszkanie swej kochanki.

Nie upłynął kwadrans po jego odejściu, kiedy do Julii przyszedł Karol Harrington. Julia opowiedziała mu natychmiast o tem, co zaszło.

Karol, oniemiały ze zdziwienia i przerażenia, stał przed nią z szeroko otwartymi oczyma.

Dziewczyna ta pozbawi nas majątku, ona nasz plan rozwieje w niwecz — zawołał, kiedy Julia skończyła.

— Tak jest! — rzekła Julia, zaciskając pięści.

— Czy ty masz odwagę, Julio? — zapytał, a na jego piękem, ale surowem obliczu znać było, że powziął jakiś stanowczy zamiar, który Julia, jak się zdawało, odgadła. Zbladła, ale nie odzywała się ani słówkiem.

— Stracimy nie mniej, jeno pół miliona, jeśli tę dziewczynę stąd bezkarnie wypuścimy. A nadto —

Objął Julię ramieniem i ciągnął dalej:

— Wiesz o tem lepiej, niż ja, jak straszne są dla ciebie te więzy, które cię łączą z tym starym głupcem. Kto wie, czy on się i tego nie dowie, że ja jestem twym mężem, nie bratem, a wtedy co? Wtedy zostaniemy znowu bez grosza i musimy klepać biedę, jak dawniej. Ty mnie kochasz Julio, nieprawdaż? Jak odbierzemy pieniądze temu zakochanemu głupcowi, to pomyślimy o przyszłości. Tak dawno już pracujemy, dążymy do tego celu, a teraz, kiedyśmy tego celu już tak bliscy, mielibyśmy tchórzliwie ręce założyć? Dziewczyna nie może się wygadać z tem co wie; musimy ją uczynić nieszkodliwą!

— Nie zapominaj — odparła Julia szeptem — że, jeśli ta dziewczyna przyszła do nas, aby nas szpiegować, to musi mieć ludzi, którzy nad nią czuwają. Gdybyśmy ją usunęli, oni by nam tego nie puścili płazem.

— Do tego czasu nas już od dawna nie będzie w Nowym Jorku. Teraz trzeba działać, a nie bawić się w skrupuły, które się nigdy mogą nie urzeczywistnić. Czyż nie musimy się bardziej obawiać, żeby się ta pokojówka nie wygadała? Czyż nie mamy do wyboru: stracić wszystko — lub wszystko zyskać?

Przez chwilę panowała w pokoju śmiertelna cisza. Potem Julia Harrington zawołała ochryplym głosem:

— Musimy zyskać, nie możemy się zatrzymywać tuż u celu!

Podniosła się i poszła do pokoju Łucyi. Stała przed drzwiami i zawołała na nią.

Nie otrzymała odpowiedzi.

Zawołała drugi raz i kiedy się przekonała, że drzwi zawsze jeszcze były zamknięte, opanowała ją taka trwoga, iż nie miała odwagi wejść do wnętrza i wróciła do Karola.

— Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi na moje wołanie — rzekła do niego — — —

— Jeśli uciekła, jesteśmy zgubieni.

— To niemożliwe, przecież ją zamknęłam!

— Więc zostań tutaj, ja pójdę zobaczyć.

Drżąc na całym ciele, usiadła Julia na krześle, podczas gdy Karol odemknął drzwi i wszedł do pokoju Łucyi.

Ale Łucyi tam nie było.

Marya Golling za dużo widziała i słyszała, aby nie wiedzieć, że jej grozi niebezpieczeństwo u tych, którzy odgadywali przyczyny jej pobytu w domu Julii. Najspokojniej więc ukrytemi starannie w murze drzwiami weszła do przyległego pokoju, przez nią wynajmowanego i wyszła czempredzej na ulicę.

Karol jak oszołomiony podbiegł do Julii.

— Jesteśmy zgubieni! — Uciekła! — wołał przeżony.

— Nie traćmy odwagi! Nie spoczniemy, dopóki jej nie odnajdziemy! — ozwała się Julia, łudząc temi słowy samą siebie.

— Na razie jednak jesteśmy w położeniu najniebezpieczniejszem. Musimy wyteżyć wszystkie siły, aby ją znaleźć i uczynić nieszkodliwą. Donieś o tem natychmiast Robertsonowi.

* * *

W międzyczasie został Henryk Wilbert aresztowany i zamknięty w więzieniu. Już na drugi dzień wieść o sensacyjnej kradzieży lotem błyskawicy obiegła całe miasto.

Pięć ze skradzionych obligacji zostało sprzedanych i w końcu dostały się do pewnego banku, który je rozpoznał, jako część skradzionych papierów według opublikowanych poprzednio numerów.

Zaczęto więc śledzić za kupcem, a raczej za sprzedawcą, aż policyja doszła do tego, kto je najpierw przyniósł na giełdę. Ten podał, że kupił je od niejakiego Karola Harringtona. W godzinę później został Karol uwięziony. Był on zupełnie spokojny i twierdził stanowczo, że jest niewinny. Powiedział, że kupił te papiery od jednego z buchalterów firmy Morton i Ska w dobrej wierze, mając zresztą zupełne zaufanie do owego buchaltera, zażywającego powszechnie najlepszej opinii. Podał zresztą i jego nazwisko: Henryk Wilbert.

Zniesiono się telefonicznie z bankiem pod firmą Morton i Ska i na skutek zasięgniętych tam wiadomości Karol Harrington został natychmiast wypuszczony na wolną stopę, a Henryka Wilberta uwięziono.

Gazety wynosiły policyję pod siódme niebo, wychwalając jej spryt i szybkość, z jaką załatwiła tę sensacyjną aferę. Sprawy stały dla Henryka bardzo złe, a nawet jego adwokat, sądząc po olbrzymim materyale dowodowym, obciążającym Wilberta, jaki zdołano zgromadzić, materyale, który nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości co do winy oskarżonego, spodziewał się jeno przez okoliczności łagodzące oddziaływać na wydanie wyroku.

Na drugi dzień po aresztowaniu Henryka przysłała do jego celi jakaś starsza kobieta. Przy wejściu wylegitymowała się kartą od dyrektora policyi, więc wpuszczono ją bez żadnych trudności. Kiedy wraz z klucznikiem weszła do kajni Henryka, zaczęła wołać głośnym, piskliwym głosem:

— Zaiste, młody człowieku, tego się po tobie nie spodziewałam! Okradać własnych przełożonych i chlebobawców!

Henryk natychmiast rozpoznał staruszkę, która mu na ulicy dała trzy tysiące dolarów. Wiedział, że ma przed sobą kobietę, która go uratowała. Serce zaczęło mu silniej bić ze wzruszenia, odwaga i radość przepełniały mu pierś.

Zaledwie dozorca się oddalił, staruszka zaczęła miękkiem, poważnym głosem:

— A więc przyszło i najgorsze. Ale niech się pan nie obawia, jestem już na tropie prawdziwego złodzieja. Te łotry umieli w mistrzowski sposób zrzucić ze siebie podejrzenie i wskazać na pana, jako na winnego. Ale ja im dam radę! spryt przeciw sprytowi!

— Więc pani jest już na tropie złodziei? Któż wie jednak, czy pani będzie w stanie zebrać wystarczające dowody...

— Niech się pan nie obawia! Jabym już teraz mogła spowodować pańskie uwolnienie. Chciałabym, żeby pan się zgodził, by podejrzenie jeszcze kilkanaście godzin na pana zostało. Koniecznem jest aby te łotry czuły się zupełnie bezpieczne. Niech się pan zda na mnie! Pan nigdy absolutnie nie może być skazany.

Marya zaczęła się teraz pytać Henryka o szczegóły jego przesłuchania u sędziego śledczego, kiedy dozorca wprowadził do kajni jakiegoś pana. Był to Robertson.

Lekki, zaledwie dosłyszalny krzyk wydarł się z piersi starej kobiety, która jednakże zaraz oprzytomniała i wpadając w surowy, piskliwy ton, rzekła:

— Tak, tak, kawalerze, żal mi pańskiej matki, mojej przyjaciółki, nie pana, choć pan teraz pod kluczem, w śledztwie. Tak, tak, biedna pańska matka!

Miała zamiar wyjść z kajni, kiedy Robertson rzucił na nią taki uderzająco badawczy wzrok, że dozorca zapytał:

— Pan zna tę panią?

Bez odpowiedzi i nie zamieniwszy ani słowa z Henrykiem Wilbertem, Robertson wybiegł koło klucznika i jak oszołomiony rzucił się za staruszką. Przypomniał sobie natychmiast, że widział ją kilka razy u Mortona. To, w związku z pewnemi rzeczami, które, jak mu się zdawało znał, naprowadziło go na przypuszczenie nawet bardzo bliskie rzeczywistości. Dałby był grube pieniądze za to, gdyby mógł być pewnym, że Francuzka już więcej nie żyje. Bo dopóki żyła, on nie mógł ani na chwilę znaleźć spokoju. — Muszę ją sprzątnąć ze świata — mówił sobie — ale gdzież ona jest, gdzie się ukrywa?

Staruszka, wyszedłszy z więzienia, skierowała się odrazu w centrum miasta. Robertson szedł za nią.

Po chwili weszła do pewnego sklepu. Robertson postanowił sobie czekać na nią, a tymczasem obserwował ją skrupulatnie, widząc przez szyby wystawowe, co się w sklepie dzieje. Upłynęło może pięć minut, kiedy ze sklepu wyszła młoda, elegancko ubrana dziewczyna. Minął dobry kwadrans, ale starej jakoś widać nie było.

Robertson zaczął się bać. Uchylił trochę drzwi do sklepu, ale się cofnął natychmiast. Starej nie było w sklepie.

Czyżby wyszła drugimi drzwiami, tylnymi, wychodzącymi na dziedziniec? Czyżby ci ajenci policyjni wszędzie wogóle, nawet w magazynach sklepowych mieli swoje stacye?

Naraz uderzył się w czoło. Przypomniał sobie tę młodą, elegancką dziewczynę, która z zawołaną twarzą wyszła ze sklepu i natychmiast domyślił się prawdy.

* * *

Jeszcze tego samego wieczora Robertson nawiązał stosunki z niejakim Mac Guire, godnym przyjacielem Karola Harringtona. Mac Guire, jeszcze młody, może dwudziestoczteroletni mężczyzna, był z gruntu zepsutym, ale sprytnym rzezimieszkiem, który bez skrupułów podejmował się każdej rzeczy, byleby tylko dobrze mu za nią zapłaceno. Robertson kazał mu szukać „Francuski“.

Dzięki wrodzonym zdolnościom, udało się wkrótce dowiedzieć Robertsonowi, gdzie dziewczyna przebywa.

Mac Guire widział ją w przebraniu męskim, kręcącą się koło willi Robertsona. Poszedł więc za nią i przekonał się dowodnie, że ten młody człowiek, ta stara kobieta i ta młoda pokojówka były jedną i tą samą osobistością, jak to już zresztą Robertson przedtem słusznie przypuszczał.

Robertson chciał jeszcze spróbować, czy mu się nie uda okupić swego szczęścia, czy nie potrafi okupić milczenia tej tajemniczej a niebezpiecznej kobiety. Jesliby zaś nie zgodziła się na jego propozycję, postanowił ją za wszelką cenę sprzątnąć ze świata.

Marya Golling zdumiała się nie mało, kiedy w pięć dni może po opisanych powyżej zdarzeniach, jakiś przechodzień na ulicy wetknął jej kartkę w rękę. Opuściła właśnie jako pani Brown jedno ze swoich mieszkań. Przeczytała w tym liście, że pewna osoba zna jej rolę, zna jej cele dobrze i że dlatego nie uda się jej nigdy odzyskać skradzionych papierów, które są schowane w pewnej skrytce. Nieznajomy pisał dalej, że nagroda, wyznaczona za wymienienie nazwiska przypuszczalnego złodzieja, bez zwrócenia wartościowych papierów, jest tak małą, że z drugiej strony ona może zarobić znacznie więcej, jeśli zaprzestanie swojego śledztwa i będzie milczeć o tem, co wie dotychczas. Prosił ją dalej, aby dla bliższego omówienia szczegółów znalazła się około 11 w nocy w pewnem oznaczonym miejscu, a to w przebraniu męskim, aby na siebie nie zwracać uwagi.

O wpół do jedenastej Marya, przebrana za Francuza Duranda znajdowała się w drodze do jednej z najpućniejszych przedmieść Nowego Jorku. Punktualnie o jedenastej przyszła na oznaczone miejsce, jednak nie pokazywała się pierwsza, ale ukryła się za gestymi krzakami. Po chwili zbliżył się ku niej jakiś człowiek w podartej bluzie robotniczej.

— To sam Robertson! — szepnęła Marya, która go natychmiast poznała po chodzie.

Bankier oparł się o drzewo i niecierpliwie zaczął się rozglądać wokoło, kiedy naraz stanął przed nim mały Francuzik z czarnym wąsikiem i o ciemnej cerze, jakby wyrósł z pod ziemi.

— Ah! Więc pani nareszcie przyszła!